

WRZOSOWISKO

- Kim jesteś? - spytałam. Nachyliłam się ku twarzy widniejącej w wykrocie; sterczały nad nią korzenie dębu.

Riches I hold in light esteem And Love I laugh to scorn And lust of Fame was but a dream That vanished with the morn 1

- Wariatka - pomyślałam, słysząc ten niedorzeczny wiersz, mówiony po angielsku. Podejrzanie okazało się słuszne: spod wytartego żołnierskiego płaszcza wyglądał charakterystyczny brunatny ubiór pensjonariuszy tutejszego domu wariatów. Po przyjsciu Rosjan można było natknąć się gdzieś na trupy tych, co uciekli ze szpitala. Na naszym własnym strychu znaleźliśmy zgwałconą i powieszoną kobietę w identycznym ubraniu. Ta w wykrocie przyjrzała mi się błyszczącymi oczami, najwyraźniej zadowolona z udzielonej odpowiedzi. - Dobrze, ale skąd się tu wzięłaś? - nie ustępowałam. Nie dziwiłabym się w lutym, ale był już listopad. Dawno wrócili do domu ci, którzy ukrywali się w ziemiankach, jak pani Taube z rodziną. Było zimno i w lesie nierosły nawet ostatnie grzyby. Sama się właśnie rozczarowałam, bezskutecznie grzebiąc w mchu. Zebrałam tylko trochę chrustu i przed chwilą dostrzegłam tę kobietę. Zaczęła mówić szybko i bardziej do siebie niż do mnie. Skleiłam z tych słów historię, która wyglądała w miarę prawdopodobnie - uciekła ze szpitala i dzięki niezwykłemu szczęściu nie zamarzła i nie została zastrzelona przez Rosjan, lecz trafiła do jednej z ziemianek, w której pozwolono jej zostać. Potem albo ona stamtąd poszła, albo ludzie z ziemianki zdecydowali się wrócić do domów, dość, że błąkała się po lesie, coś pewnie w nim zbierała, a resztę kradła po wsiach, bo na samych jagodach z pewnością by nie przeżyła. Była zabiedzona, wychudzona jak szczapa i bardzo brudna. Trzymała w ręce pozwijane szmaty, kryjące pewnie cały jej dobytek.

*1 Bogactwa lekce sobie ważę / Z miłości drwię boleśnie / Sława mi była czczym mirażem / Co rozwił się dość wcześnie - początek wiersza Emily/ Bronte *** Riches I hold in light esteem w przekładzie Stefana Stasiaka.*

- A jak chcesz przeżyć zimą? - zainteresowałam się. Było mi nieco mniej nieswojo, odkąd przekonałam się, że potrafi mówić do rzeczy. Zrobiło mi się jej żal. Przypominała tamtą kobietę powieszoną na strychu. - Mogłabyś mi pomóc - powiedziała gdybyś chciała. Mogłabyś mnie schować na strychu albo w szopie. - Rosjanie już poszli. Polacy nie strzelają - stwierdziłam. - Wyjdź po prostu do ludzi, nic ci się nie stanie. - Zamkną mnie z powrotem - odparła. - Nie mogę jeszcze iść między ludzi nagłym ruchem schowała twarz w dłoniach - boję się. Muszę odpocząć, muszę dojść do siebie... Nie mogę... boję się - zaczęła szeptać te słowa raz za razem, z rękami przy twarzy. Patrzyłam na nią chwilę, potem wyciągnęłam dłoń i pomogłam jej wyjść z wykrotu. W czasie tych kilku sekund podjęłam decyzję: schowam ją na strychu. Na tym samym, gdzie powieszono inną wariatkę, i będzie to tak, jakbym spłaciła jakiś dług albo wierzyła, że Rudi przestanie wtedy widywać jej ducha i krzyżeć. Byłam zupełnie pewna, że ona nie zrobi mi krzywdy - oczy miała obłąkane, ale niegroźne - oczy, które przenikały mgły innych światów, podczas gdy ona nie mogła sobie poradzić z tym, na którym żyła. Kiedy przyjrzałam jej się uważnie, dostrzegłam, że choć wydawała mi się stara, naprawdę nie ma więcej niż czterdzieści parę lat. Zrobiło mi się też głupio, że mówiłam do niej „ty” - nie dlatego zresztą, że była wariatką; sprawiło to zaskoczenie, ten wykrot, nagłe spojrzenie spod korzeni. Słyszmy po lesie parę godzin - wyprawiałam się daleko od domu, lubię to, lubię las i samotność. Kazałam jej potem czekać w ogrodzie - zrobiło się już ciemno i nikt nie powinien jej tam dostrzec. Nagle spodobał mi się ten szalony plan, szybko obmyślałam szczegóły, cieszyła mnie myśl, że przechytzę matkę, panią

Taube i jej siostrę, że potrafię komuś pomóc. Może nawet najbardziej podobało mi się to, że nagle poczułam się silna - tamta kobieta była ode mnie zależna. Na górze było ciemno, co oznaczało, że wszyscy siedzą u nas w kuchni. Cicho przemknęliśmy na strych. Biło mi głośno serce i śmiałam się do siebie. Powiedziałam, że przyjdę jutro i zostawiłam kobietę samą. Potem, w czasie kolacji, przemyślałam swój plan jeszcze raz. Matka w czasie serii awantur z panią Taube, która była naszą kuzynką i właścicielką rozwalonego przez bombę domu (dlatego u nas mieszkała), ustaliła, że ona nie będzie chodzić na nasz strych. Leżały tam jabłka z ogrodu i inne zapasy - chodziło o to, żeby nic nie ukradła. Jej siostra i szwagier mieli identyczny zakaz. Matkę po całym dniu stania w czymś na kształt sklepiu, który sklecił unkel Bruno, bolały nogi i niechętnie wspinała się po schodach. Rudi miał sześć lat i bał się ducha powieszzonej. Ja natomiast chętnie biegałam na strych, czy mnie tam posyłano, czy nie. Po prostu lubiłam tam posiedzieć sama. Mogłam tej kobiecie przynieść koc i kożuch po Annie; w pobliżu przewodu kominowego powinno być na tyle ciepło, żeby nie zamarzła. Nie będzie mogła się porządnie umyć, ale od brudu jeszcze nikt nie umarł, a na ubikację dam jej wiadro, ale to też nic strasznego, zwłaszcza że wszystko by zamarzło i nie śmierdziało. Niech nas obie Bóg broni, jeśli matka czy pani Taube to odkryje - myślałam, kręcąc się niespokojnie przed zaśnięciem - ale to tylko trzy, cztery miesiące, a potem niech stąd idzie. Może naprawdę na wiosnę będzie jej lepiej i nie trafi znów do szpitala. Kuzyn Heini przysięgał, że pewną kobietę wsadzono do domu wariatów za kąpiel nago w jeziorze. Może i z tą nie jest tak źle? Tej nocy miałam sen, w którym gwałciło mnie dziewięciu rosyjskich żołnierzy. Kiedy już to zrobili i chciał podejść do mnie dziesiąty, jakiś oficer z pistoletem w ręce oświadczył stanowczo: „Ona już najebana” - i tamten go posłuchał. Potem oni zniknęli, a ja szukałam w szafie, w płaszczach, które tam wisały, monet pochodzących z Fidzi, Indonezji, Mandżurii - widniały na nich łodzie, wulkany i kwiaty; zdaje się, że miały służyć jako lekarstwa, a ja byłam obolała i niezbyt przytomna. Obudziłam się z ulgą, ale długo nie mogłam zasnąć; musiałam jak zwykle myśleć o tym, co zdarzyło się naprawdę. Pierwszy raz widzieliśmy Rosjan bardzo krótko - załomotali do drzwi, zapytali „Giermanca niet?” i poszli. Po dwóch dniach zjawili się ponownie, ale my uciekliśmy już do chlewika naszych sąsiadów: matka, ja i Rudi, bo Anna już nie żyła. Znaleźli nas tam i zaczęli gwałcić. Nie widziałam matki, słyszałam tylko nawet nie krzyki, a coś jakby syczenie, chrapliwe i przerywane. Pamiętam, że ręce miałam brudne i zmarznęte, a plecy całe mokre od lodu i śniegu, który Rosjanie wnieśli na butach do chlewika. Potem.... nie mogę, bo on znów jest nade mną... a gdy zaczął to robić drugi, dostałam ataku. Padaczkę mam od urodzenia, ale pierwszy raz mi się przydała, wyszła na dobre. Rudi, któremu nic nie zrobili, bo w końcu nie był dziewczyną, patrzył z kąta i mówił, że tamten ledwie skończył, to odskoczył i splunął. Pewnie, w ataku padaczki nikt nie wygląda przyjemnie. Najwidoczniej brzydzili się mną, może też nie wiedzieli, co to za choroba i myśleli, że mogą się zarazić; dookoła kobiet nie brakowało. Zza płotu dobiegały krzyki Jutty, która jest nieco niedorozwinięta - prosiła, żeby ją zastrzelili zamiast gwałcić, ale nie posłuchali, widocznie gwałcenie dawało im więcej zadowolenia niż zabijanie. Kiedy atak przeszedł, było już po wszystkim Rosjanie poszli, matka stała na nogach, choć trzymała się ściany, a Rudi wyjął mi z ust gałązkę, którą tam uprzednio wpakował - że też miał jeszcze głowę o tym pomyśleć... Pani Schandt też tam była i mówiła, że Heldze udało się uciec i gdzieś schować; o sobie nie wspominała, a my nie pytałyśmy. Matka wciąż przyklepywała i wygładzała niebieski fartuch, wybrudzony błotem. Spojrzała na mnie i wiedziałam, że mam nigdy jej o tym nie wspominać. Rudi też to zrozumiał i udawał, że nic nie widział i że w ogóle go tam nie było. Ostrożnie wróciliśmy do domu, był zdemolowany, ale cały i nasz. Chyba nie miało dla nas znaczenia, gdzie nas mogą znaleźć drugi raz. Ale pojawili się nieprędko i nie gwałcili, tylko ćwiartowali barana na kuchennym stole, wyjadali to, co udało nam się zdobyć do jedzenia i zagadywali do Rudiego. Myślałam cały czas dużo o Annie, zastanawiałam się, czy to dobrze, że umarła

i czy nie wolałabym być na jej miejscu. Mimo że miałam szczęście. Mimo że matka miała gorzej i jeszcze musiała dbać o mnie i Rudiego. Ale tęskniłam za Anną i jej snem w zimnym śniegu. Anna jest (jest!) moją starszą siostrą. Pod koniec stycznia, kilka dni przed wejściem Rosjan, dostała zapalenia płuc. Biegała po mieście, znosząc nam nowiny, gorączkowe i niepewne wieści, podszyte strachem niby lodowatym wiatrem. Było jasne, że zostaniemy, nie zostawimy domu, który mieliśmy od niedawna, że nigdzie nie pójdziemy w tę zimę. Ale kiedy Anna zachorowała, stało się to jeszcze bardziej oczywiste. Był mróz i śnieg skrzypiał pod nogami. Gdy patrzyłam na Annę pod kołdrami i kocami, myślałam, że jeśli wyzdrowieje (na pewno!), to może przeziębici się drugi raz, w tym swoim palcie. To była myśl - obsesja; z całą siłą, jakiej nie chciałam poświęcać na zgadywanie, czy będzie żyła, zastanawiałam się, w czym będzie chodzić, gdy będzie już zdrowa. I w przerwie między jednym a drugim przyjściem Rosjan, gdy wyjrzałam na ulicę, zobaczyłam blisko naszego domu leżącego człowieka w kożuchu. Był trupem. Podeszłam do niego i czułam, że muszę dotknąć tego kożucha. Pragnienie dotyku mrowiło, przeszywało mnie dreszczem od głowy do stóp. Podeszłam do trupa i niezgrabnie, modląc się, pocąc i bojąc boskiej kary, ściągnęłam z niego kożuch (człowiek leżał jeszcze długo, widziałam go bez butów, swetra, spodni, w końcu chyba go pogrzebano na wiosnę) i zaniosiłam Annie. Matka spytała obojętnie: - Skąd go masz? Ale nie czekała na odpowiedź. Przydał się na razie jako następna kołdra. Nic nie pomógł i Anna umarła w dzień przed tym, jak schowaliśmy się w chlewiku pani Schandt. Matka nie lubiła tego kożucha, choć parę razy go włożyła, taki był mróz, i mnie też kazała, kiedy musiałam wychodzić z domu. Ale gdy przyszło lato, schowała go i powiedziała komuś, że nie chce go więcej widzieć. Nie wyrzuciła, bo nie znosi marnotrawstwa, ale wiem, że miała na to ochotę. Może wreszcie odda ten kożuch albo przehandluje. Na razie za bardzo kojarzy się z Anną - może dlatego nienawidzi tej „pamiątki”, ale nie potrafi się pozbyć. Kradziony kożuch, a jest w nim tamta zima, pot Anny, lód. Pochowaliśmy ją w ogrodzie, z wielkim trudem, a dopiero wiosną odbył się pogrzeb na cmentarzu.